

W LEPSZYCH WARUNKACH LEPSZA PRACA

Informacja prasowa była krótka. Wynikało z niej, że w Zakładach Fosforowych w Luboniu, w trakcie spawania zbiornika oleju opałowego, doszło do winy przedsiębiorstwa montażowego do katastrofy. Wskutek nieprawidłowego przebiegu prac nastąpiło zapalenie ropy i wybuch. Zginęło dwóch młodych robotników.

Ten wypadek zasługuje na szczególną uwagę, bowiem był przykładem wyjątkowego lekceważenia obowiązków służbowych, niedbalstwa i złej organizacji pracy. Obaj robotnicy mieli za sobą po dwie godziny przeszkolenia w zakresie bhp, a żaden z nich nie posiadał uprawnień zawodowych; przy tym, nie zostali odpowiednio poinstruowani.

Tego wypadku jak i wielu innych, notowanych w aktach inspektorów pracy, można było uniknąć. Zabrakło jednakże właściwej dbałości o człowieka, zabrakło zaangażowania go stosunku do wykonywanych obowiązków służbowych — przemyśle, których wymaga się od nadzoru i kierownictwa w każdym zakładzie, a w przedsiębiorstwie socjalistycznym w szczególności.

Braki — często n'czym nieuzasadnione

Niebezpieczeństwo urazów toczy się przede wszystkim jedna strefa zagrożenia zdrowia i życia pracowników. Na pojęcie bezpieczeństwa i higieny pracy składa się wiele elementów, poczynając od wentylacji i klimatyzacji hal fabrycznych czy nawet biur aż po odzież ochronną, dożywanie, opiekę lekarską itp.

Na administracji zakładów pracy ciąży jednakże jeszcze szereg innych obowiązków wobec pracowników, które nazywa się ogólnie opieką socjalną. Służą ona pracownikom, a więc stanowi integralną część procesu wytwarzania, inaczej — procesu pomnażania dóbr materialnych i innych, niezbędnych dla normalnego, nieprzerwanego rozwoju współczesnego społeczeństwa.

Czy więc kierownik zakładu życzy sobie, czy też nie — jego obowiązkiem jest stawić sprawę warunków pracy i warunków socjalnych na takim miejscu, które gwarantuje klasie robotniczej realizację jej praw socjalnych, jako zdobywczy ustroju Polski Ludowej.

Tymczasem, choć mamy do odnotowania wiele istotnych osiągnięć poszczególnych zakładów — istnieje też nadal szereg niedociągnięć, wymagających baczniejszej uwagi. W wielu dziedzinach produkcji doszło do dysproporcji między rozwojem gospodarczym, postępem technicznym i ekonomicznym, a postępem w zakresie warunków pracy i świadczeń socjalnych. Niektóre zakłady wyraźnie nie nadążają z doskonaleniem bazy socjalnej, jej form oraz jakości.

Rosnącym wymaganiom technicznym (nowoczesne maszyny i urządzenia) i potrzebom ludzi (wyższa stopa i wzrost cywilizacji) nie wszędzie towarzyszą dostateczne starania administracji zakładowych, inwencja i świadomość polityczno-społeczna kierowników. Tym łatwiej można dostrzec te zjawiska, że wiele zaniedbań jest wynikiem nie braku środków, lecz jedynie nieumiejętności, rutyniarstwa, braku troski, lekceważenia wpływu warunków pracy — na jej wyniki.

Inicjatywa partii

Dbalność o warunki pracy i życia ludzi była zawsze, i jest przedmiotem baczniejszego zainteresowania partii. Realizatorem jej polityki i działań są organizacje partyjne i członkowie partii, organizacje polityczne i społeczne. Im przeto postawiono odpowiedzialne zadanie usunięcia zaniedbań. Od nich zażądano energiczniejszego w przyszłości działania, by człowiek przy warsztacie czuł się nie tylko bezpieczniej, ale i lepiej, by w miarę doskonalenia techniki i intensyfikowania pracy mógł on podnosić swoją godność pracownika socjali-

stycznego przedsiębiorstwa. A nie przysporzy mu tej godności podarty kombinezon, zaśmiecona śniadalnia, czy nieczysta łazienka, uniemożliwiająca schludny wygląd w czasie powrotu z pracy do domu.

W lutym ubiegłego roku Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu wystosowała do wszystkich organizacji partyjnych list, w którym zwracano uwagę na potrzebę poprawy warunków pracy i warunków socjalnych w zakładach Wielkopolski. Rezultatem listu były — opracowane przez te organizacje, komitety powiatowe, dzielnicowe i miejskie — programy działania w tej dziedzinie. Na ich podstawie sporządzono program wojewódzki.

Był to dla naszego województwa moment zwrotny. Przysła-

Zakład- załódze

piono do generalnego bilansowania potrzeb, a przy tym do porządkowania tej zaniedbanej dziedziny.

Na plenarnym posiedzeniu KW w listopadzie 1967 r., które odbyło się przy współudziale Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, liczne zakłady meldowały już o wykonanych najpilniejszych pracach, często dla załóg doniosłych. Okazało się przy tym, że niejedno zrobiono bez większego wysiłku, stosunkowo prosto i łatwo. Jeszcze raz potwierdziła się teza, że zadecydowały o tym nie środki finansowe, a czynna postawa, ostrzejsze spojrzenie i zaangażowanie w sprawy partii i ludzi.

Nie będziemy przytaczać tu przykładów co zrobiono, czym i w jaki sposób przyczyniono się do znacznych zmian na lepsze w dziedzinie bhp i zagadnień socjalnych. Przykładów byłoby zbyt wiele, zwłaszcza że do tej bogatej listy dochodzą nowe, aktualnie podejmowane i już

realizowane zobowiązania z okazji V Zjazdu partii, zawierające postanowienia o porządkowaniu fabryk, zakładaniu przedszkoli i żłobków, budowie osiedli wypoczynkowych, urządzeniu stołówek itp.

Zaczynamy nowy cykl publikacji

Zatrzymamy się na tej części programu wojewódzkiego, która zobowiązała zakłady, organizacje partyjne i związkowe dokonać do 1970 roku dalszej poprawy warunków pracy i warunków socjalnych wielkopolskich załóg. Chcemy bowiem w specjalnym cyklu publikacji bliżej zapoznać czytelników, z tym, jak przebiega realizacja programu, jak w wielu zakładach rozwiązano nurtujące je problemy i wszędzie, jakimi kłopotami borykają się nadal załogi. Nie sądzimy, bowiem, by wszędzie już było dobrze. Obok więc osiągnięć chcemy pokazywać braki, a zarazem podpowiadać, czym by się zająć należało.

Program jest bardzo obszerny, ale realny, kompleksowy ale i skorygowany z planami wydatków na te cele. Mówi on m. in. o konieczności poprawy warunków bhp i ochrony zdrowia pracowników, o ułatwieniach w żywieniu zbiorowym i wypoczynku po pracy, o rozwoju urządzeń socjalnych i doskonaleniu usług oraz zaopatrzenia. Nie zabrakło w nim spraw kultury masowej i dojazdów do pracy, pomocy rencistom i inwalidom. Zawiera nawet listy zakładów, które mają w tym zakresie szczególnie wiele do zrobienia.

W naszym cyklu pod hasłem **ZAKŁAD — ZAŁÓDZE** chcemy przypomnieć załogom w dążeniu do tego, by praca i przebywanie w zakładzie były przyjemnością, by ludzie, czuli się prawdziwie socjalistycznymi pracownikami.

Oczekujemy jednocześnie listów i informacji, sygnalizujących, co jest powodem do dumy niejednej załogi lub co nadal niepokoi. Nasz cykl **ZAKŁAD — ZAŁÓDZE** lepiej spełni swoją rolę, będzie pełniejszy i treściwszy, gdy wzbogaci go sami zainteresowani — ludzie pracy Wielkopolski.

Wanda Chila

W rejonie doktora Kolińskiego

Siedziałam na białym taborecie pomiędzy szafką z lekami, a wagą dla niemowlaków. W pokoju pachniało świeżą farbą i lakierem. Niezadepnany jeszcze chodnik i sztywno kręchmalone firanki także świadczyły o tym, że pomieszczenie to całkiem niedawno „wyszło” z rąk ekipy remontowej. Po raz pierwszy tam przez uchylone drzwi zajrzała pielęgniarka:

— Pan doktor przeprasza, jeszcze tylko kilku pacjentów...

— Nic nie szkodzi. Właśnie podziwiam bo chyba mieliście tu remont?

— O tak! Mieliśmy prawdziwe urwanie głowy: pacjenci razem z malarzami, hydraulikami, elektrykami! Ale na szczęście szybko się z tym uwinęli, a ośrodek wygląda jak nowy. Bo przedtem...

Przedtem była to stara, pamiętająca sam początek naszego wieku, rudera. Zupełnie do potrzeb ośrodka nie dostosowana. Podłogi pełne szpar, dymiące piece, przewody elektryczne ciągnięte wierzchem, po tynku i w każdej chwili groźące wypadkiem, zle — pod względem funkcjonalnym — rozmieszczanie pokoi. Ale ludzie się przyzwyczaili i nawet nie narzekali. Zawsze to wygodniej przyjsz do lekarza miejscowego, choćby i w nie najpiękniejszym gabinecie urzędował niż jechać „do powiatu” z kąd grypa.

— Kiedyśmy to zauważyli, że ten nasz ośrodek nie jest taki, jak trzeba, ani nawet taki, jaki mógłby być? Chyba gdzieś w sześćdziesiątym trzecim roku. Dlaczego akurat wtedy? Ano, bo to nasz doktor wtedy do nas przyszedł, i zaczął mówić, że...

Stał przedem mną jeszcze ze stetoskopem w ręku, jeszcze myślałami towarzyszącymi ostatniemu pacjentowi („siostrko, to skierowanie do szpitala trzeba zaraz...”). Odnalazł w kącie pokoju drugi taboret, wyciągnął paczkę MDM-ów. Widać było, że chce tę chwilę rozmowy potraktować jako relaks.

— Dobrze, że pani tydzień temu nie przyjechała. Urzędowaliśmy tu wśród kubiów z farbą... — „Ten remont, to najwyraźniej ich temat dnia” — pomyślałam.

— Jednak pan to spowodował, doktorze...

— Mamy szczęście do wyjątkowo przychylnych potrzebom służby zdrowia władz miejskich. Ja im po prostu pomogłem uświadomić sobie, że to jest naprawdę potrzebne i że to można zrobić.

Pomógł dosyć skutecznie. A zaczął to robić, jeszcze wtedy gdy mieszkał w Śremie i pracował — zgodnie ze swą specjalizacją — w miejscowej poradni przeciwgruźliczej. Po trzyletniej, podyplomowej pracy w Poznaniu, dr Jerzy Koliński przeniósł się tutaj w poszukiwaniu mieszkania. Tak, dziś już może to powiedzieć zupełnie swobodnie. Bo przecież za chwilę równie swobodnie powie o tym, jaką satysfakcję sprawia fakt, że człowiek „siedzi w swoim środowisku”, że spoglądając na wyłożone rano karty zdrowia może od razu się domyślić, z czym kto przychodzi. Więc wtedy w 1960 roku, z racji swego stanowiska, zmuszony był do częstych i bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami administracji państwowej, pomagającej mu

Milczenie to nie odpowiedź

Nie będę tu powtarzał znanego w szerokim wyborze i naszym czytelnikom steku bzdurnych oskarżeń, płynących tak zgodnym tonem z monachijskiej „Freies Europa” i z Izraela, z ośrodków międzynarodowego syjonizmu, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i z ust rewizjonistów bońskich. Warto jednak i trzeba zauważyć, że oskarżenia o rzekomy antysemityzm płyną z ośrodków wybujałego nacjonalizmu.

Bo z czego, jak nie z nacjonalizmu wypływa przykazanie światowej organizacji syjonistycznej o tym, że „obowiązkiem Żydów w diasporze jest udzielanie pomocy Izraelowi nie zależnie od tego czy rząd, któremu Żydzi w danym kraju podlegają, pragnie tego czy nie”? Z niczego innego jak właśnie z szowinistycznego nacjonalizmu narodziła się nagonka antypolska w 1956 roku, kiedy syjonizm torował już drogę dla nawiązania stosunków między Izraelem a NRF. To wtedy po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, że to rzekomo my, Polacy, ponosimy przede wszystkim winę za masową eksterminację Żydów w okupowanym przez hitlerizm kraju.

Ta antypolska histeria ma daleko sięgające korzenie, zarówno poza granicami naszego kraju jak i u nas.

Już przed sierpniem 1948 roku, kiedy z pozycji socjalistycznych i patriotycznych wskazywano na potrzebę walki z nacjonalizmem wszelkiego typu — nie wyłączano z tego, rzecz jasna potępienia nacjonalizmu żydowskiego. Jak wiadomo jednak, żydowski szowinizm każde potępienie swego nacjonalizmu nazywa antysemityzmem, nacjonalizmem, a więc w tym przypadku nacjonalizmem polskim.

Albowiem wtedy właśnie sekretarz generalny Komitetu Centralnego PPR Władysław Gomułka bezpodstawnie oskarżony został o odchylenie pracowniczo-nacjonalistyczne. Z podobnych pozycji zaatakowano partię dziesięć lat później — w czerwcu 1967 r. po przemówieniu Władysława Gomułka na VI Kongresie Związków Zawodowych.

Bezpośrednim bodźcem — przypomnijmy — do nikczemnej nagonki antypolskiej stało się oświadczenie Władysława Gomułka złożone w związku z tym, że agresja Izraela na kraje arabskie spotkała się z aplauzem w syjonistycznych środowiskach Żydów — obywateli polskich: „Stoiśmy na stanowisku, że każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę — Polskę Ludową”.

Trzeba to przypomnieć, bo ta konkretna sytuacja wyrażała odwołanie nacjonalistyczne źródło wścieklej nagonki na nasz naród. Czy bowiem ktokolwiek uczciwie myślący może się godzić z tym, żeby jakikolwiek nacjonalizm pozostawał poza społeczną krytyką? Nie sposób przecież inaczej walczyć z nacjonalizmem jak właśnie z konkretnymi jego przejawami. Ale nie wszyscy chcą to przyjąć za prawdę oczywistą, usiłując swój nie zawsze maskowany nacjonalizm odparć oskarżeniami o rzekomy antysemityzm.

Syjonistyczna propaganda skierowana jest nie tylko przeciwko Polsce.

Jeszcze przed zeszłoroczną agresją Izraela na państwa arabskie na czele rabin Wielkiej Brytanii skierował apel do Żydów Anglii i wszędzie poza Izraelem, stwierdzając:

„Żydzi na całym świecie mają obowiązek pracować, przekazywać pieniądze, a nawet walczyć w obronie Izraela, po prostu dlatego, że są Żydami”.

Wówczas to spośród obywateli brytyjskich pochodzenia żydowskiego nie było tylko takich, którzy poparli rabiną bądź zamikali. Oto Bernard Levin na łamach amerykańskiego dziennika „International Herald Tribune” w sierpniu ubr. czuł potrzebę napisania:

„Z pozycji obronnej, jaką dają mi moje żydowskie nazwisko i żydowski przodekowie, podaję publicznie polemikę z naczelnym rabinem w mej stałej rubryce w „Daily Mail”. Powiedziałem, że nie poczuwam się do lojalności ani obywatela wobec Izraela, lecz tylko do mego kraju — Wielkiej Brytanii, że mój podziw dla osiągnięć Izraela był hamowany myślą o niesprawiedliwości, jakie jego utworzenie wyrządziło tylu Arabom”.

Jeszcze bardziej zdecydowanie w obronie prezydenta de Gaulle’a, oskarżonego przez syjonizm o antysemityzm wystąpili także Francuzi pochodzenia żydowskiego. Oto młody uczonec Edmond Bettelheim na łamach dziennika francuskiego „Notre Republique”, (8. XII. 1967) tak odparł zarzuty syjonizmu:

„Właśnie jako Żyd potępiam ludzi złej woli, syjonistów izraelskich, którzy stoją się w szaty heroldów antysemizmu tylko wówczas, gdy państwo Izrael jest zagrożone na skutek swej ekspansjonistycznej polityki, ale którzy jednocześnie zgadzają się z antysemitami co do tego, że prawdziwą ojczyzną Żydów jest Izrael”.

Nie, panowie syjoniści, nie panowie antysemici. Moją prawdziwą ojczyzną nie jest i nie był nigdy Izrael. Moją ojczyzną jest Francja. Jestem Francuzem

Dokończenie na str. 2

np. w organizowaniu środowiskowych badań. Na tej samej drodze zetknął się z ojcem miasta Dolska (słynnego w okolicy m. in. z uroczyska „plantacji” róż na ulicznych skwerkach). Widać nie najgorzej im się współpracowało, skoro w sześćdziesiątym trzecim, kiedy to miasteczko wy lekarz osierocił Dolsk dla uroczystości miejscowości uzdrowskiej (mieć mu to za złe?) — zaproszono go do rządów w opuszczonym przybytku białej służby. Ze zaś ojcowie znali już nieustające zainteresowanie doktora wszystkim, co bliskie i



Dr Jerzy Koliński: „... upowszechnienie profilaktyki to jedno z najważniejszych osiągnięć wiejskiej służby zdrowia”.

Fot. — K. Przychodźki

najważniejsze dla jego pacjentów — powołano go również w poczet radnych. No i zaczęło się „utrapienie”. Bo odtąd nie było w Dolsku sesji miejskiej rady, na której by doktor nie kreślił przed zgromadzonymi per spektwy „nowego” ośrodka zdrowia. Ładniejszego. Sprawniej działającego. Stanowiącego bardziej efektywny fragment miasta. Dającego świadectwo tego, że Dolsk może... Utrapienie bardzo szybko przemieniło się w chlubę. Ośrodek odmłodził, wypiękniał; wkrótce — stojąc na rogatkach miasta — witać będzie przyjeżdżających odnowioną fasadą, kolorowymi klombami kwiatów, wybrukowanymi dookoła chodnikami. („strach było patrzeć, jak matki ciągnęły wózki z maluchami wśród bryzgów błota”). Bo doktor na remoncie wnętrza nie poprzestaje.

— Tu się już ze mnie śmieją, wie pani, co ja będę robił, jak się ten remont zakończy. Ale ja sobie chyba coś wynajdę. O, na przykład chcemy teraz wyremontować dawną izbę porodową: zamienić ją na mieszkanie dla naszych pracowników tzn. położnej, farmaceuty i stomatologa. Bo mieszkania, to właśnie pięta achilleusza terenowej służby zdrowia.

Rejon obejmuje 7 tysięcy mieszkańców. Dodajmy, że jest to rejon rozległy; poza Dolskiem, który liczy 1000 mieszkańców, należą do niego okoliczne, bardzo rozrzucone wsie. Kiedy doktor kończy udzielanie porad swojej „diennej normie” pacjentów (przeciętnie około 40) — jedzie do Śremu, by w czasie 3 godzin pełnić funkcję kierownika poradni przeciwgruźliczej, ponieważ dotąd nikt go tam nie zastąpił, a poradnia nie może przestać działać.

— Więc pana dzień pracy zaczyna się o godz. 8. A kiedy się kończy?

— To się pan może wydać śmieszne, ale mój rozkład zajęć normuje po

Dokończenie na str. 2

Milczenie to nie odpowiedź

Dokończenie ze str. 1

pochodzenia żydowskiego, ale przede wszystkim Francuzem, równoprawnym dziedzicem tej pełnej chwały i smutku spuścizny, jaką przekazały nam stulecia historii Francji. Wspólnie też z innymi Francuzami buduję przyszłość, jaką przekażemy nam stulecia historii Francji".

☆

Przytaczam te głosy ludzi, którzy jakże jasno brzmiącymi słowami stanęli w obronie swoich ojczyzn, zaatakowanych przez syjonizm.

Szalbiercze oszczerstwa reakcji i syjonizmu w nieporównanie większym stopniu dotyczą nasz kraj. Nie oczekujemy oczywiście, że o sprawy Polaków upomnie się zechcą ci, którzy przez lata całe zajmowali poważne stanowiska w aparacie państwowym Polski, by potem zdradzić nasz kraj i przejść na bezpośrednią służbę wywiadu Izraela.

A tak przecież postąpił m. in. Józef Światło (czyli Izak Fleischfarb) — były wicedyrektor w byłym Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego; Władysław Tykociński (czyli Elias Tikhotiner) — były szef polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim; Paweł Monat — były pułkownik Wojska Polskiego.

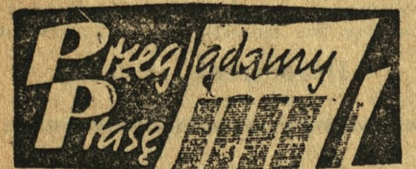
Nie oczekujemy też, że o Polskę upomną się tacy, jak Leon Srebnik, który przed kilką laty wyjechał do Izraela, by tam prowadzić przedsiębiorstwo i za pośrednictwem swej australijskiej filii sprzedawać do Polski zgłnity kauczuk, zamawiany przez Zjednoczenie Przemysłu Gumowego, kierowane do niedawna przez naczelnego dyrektora Mieczysława Srebnika (czyli Kolmana). O tym, że M. Srebnik oskarżony został o sfalszowanie dyplomu wyższej uczelni informowaliśmy w „Głosie” z 26 ubm.

Nie zależy nam również na tym, by upominali się o sprawy Polski tacy, jak Izidor Orhon — przebywający od kilku lat w Izraelu, a znany przed kilką laty w Poznaniu był kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium WRN i przedtem działacz.

Nie od takich oczekujemy obrony socjalistycznych i patriotycznych interesów Polski. Oni się już wypowiedzieli swymi czynami.

☆

Partia oczyszcza swoje szeregi z ludzi, którzy okazują się kosmopolitami, chcącymi tylko czerpać jak największe korzyści z faktu, że żyją w naszym kraju, a gotowi są zdradzić nasz kraj przy łada okazji.



W ostatnich 2-3 latach pojawiło się w polskiej twórczości filmowej znacznie więcej niż w innych okresach, pozycji słabszych, nijakich, nieporadnych warstwowo albo po prostu zupełnie złych. Nad tym, jakie czynniki spowodowały gwałtowny i zbyt długotrwały marazm w tej dziedzinie zastanawia się Ryszard Gontarz na łamach „Prawa i Życia” w artykule pt.

SZARGAM „ŚWIĘTOŚCI”

Autor pisze o filmach, które weszły na ekrany bądź o tych, które wyprodukowano, łożąc na to milionowe sumy i spisując je na straty. Pisze też o postawie moralnej i etyce ludzi filmu polskiego.

Przypomina zrealizowanie w 1958 r. w koprodukcji przez producenta filmowego z Berlina Zachodniego Artura Braunera i przez Aleksandra Forda filmu „Osmi dzień tygodnia”. Film był rozprowadzany przez Boston - Film - Establishment w krajach kapitalistycznych, a w Polsce poszedł na półki.

„Był to bowiem film — pisze Gontarz — w swej wymowie politycznej wrogi Polsce, oszczerzy, oburzający nieprawdą. Efektom koprodukcji Filmu Polskiego z Arturem Braunerem z Berlina Zachodniego, były nasze milionowe straty i kursowanie po świecie filmu — oszczerstwa na Polskę i Polaków, firmowanego przez Film Polski. Czy wyciągnięto w tej sprawie jakieś wnioski? Czy żądano od Aleksandra Forda i kierownictwa Filmu Polskiego wyjaśnień w tej skandalicznej aferze? Nie”.

Kult Zachodu jest chorobą części środowiska filmowego w Polsce.

„W tych samych kategoriach — pisze Gontarz — ulegania pewnym szkodliwym prądom, należy chyba rozpatrywać film pt. „Rassenschande” — czyli „Kiedy miłość była zbrodnią”. reżyserii Jana Ryb-

Partia oczyszcza swoje szeregi z ludzi nie związanych z socjalizmem i z Polską. Sporo takich faktów zna już opinia publiczna. Jedną z de czyj podjęła niedawno egzekutywa Komitetu Uczelnianego PZPR Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu wobec doc. dr. Wiktora Jassemę — kierownika Katedry Fo netyki tej uczelni.

13 marca br. prowadzący zajęcia na Uniwersytecie otrzymali dla odczytania swoim studentom teksty apelu rektorów o nieuczestniczenie w nielegalnych zgromadzeniach. Wówczas członkowie partii — doc. dr. W. Jassemę (cytuje jego słowa z protokołu egzekutywy KU z 14 marca br.) oświadczył: „Jeśli jest tu mowa o syjonistach, to nie mogę tego odczytać”.

Jednogłówny wniosek o wydaleniu z partii doc. dr. W. Jassemę — cytuję z tego samego protokołu — uzasadniono „niewłaściwą postawą przy wykonywaniu poleceń partyjnych i niezrealizowaniem uchwał władz uczelni w sprawie występowania przeciw nielegalnym wiecom w momencie, gdy sprawy dyscypliny partyjnej są szczególnie ważne”.

☆

Przeciwko syjonistycznej propagandzie szczególnie zdecydowanie zaprotestowali robotnicy, odżegnali się od niej studenci, zaprotestowała olbrzymia większość narodu.

Wciąż trwa proces wyraźnego określenia się ludzi, zgodnie z tym, co zawarł w swoim marcowym przemówieniu Wiesław. Nikogo w Polsce nie pytamy o pochodzenie. Zwalczamy nacjonalizm syjonistyczny, uznajemy bowiem za niedopuszczalny także każdy inny. Kto tak myśli i postępuje, ten jednak ma pełne prawo domagać się od każdego samookreślenia, zdecydowania się na to, jaki kraj uważa za swoją ojczyznę i zajęcia stanowiska wobec ataków wydarzeń. Mamy też prawo oceniać każdego według jego pracy, według czynów. To zaś oznacza zarazem, że nikt ze względu na swoje pochodzenie nie może domagać się dla siebie szczególnych praw.

Ta właśnie prawda, tak oczywiście jasna, toruje sobie drogę w praktyce naszego życia.

TADEUSZ KACZMAREK

kowskiego. Zupewnie nie mogę pojąć jak ten film będący także efektem koprodukcji z producentem zachodnioblińskim mógł ukazać się na ekranach naszych kin. Polscy robotnicy w Niemczech hitlerowskich pokazani zostali w tym filmie jak wczasowi podrywacze. Są sy-el, weseli i żądni przygód (...) Nie ma w tym filmie niewolniczej pracy ponad siły, nie ma strasliwego terroru, nie ma prawdy. Jest erotyzm i fałsz. Czy taki film mógłby powstać w Polsce, gdyby nie wpływ zachodnioblińskiego koproducenta? Jestem pewny, że nie.

Szkolliwość filmu jest tym większa, że utrzymany on jest w konwencji dokumentu i stwarza pozory autentyzmu. Słusznie więc ZBoWiD, a także załoga FSO na Żeraniu zaprotestowali przeciwko wyświetlaniu „Rassenschande”. W wyniku czego film został zdjęty z ekranu. Niezależnie od intencji Rybkowskiego, powtórzyła się więc raz jeszcze historia „Osmego dnia tygodnia”.

Z kolei autor pisze o odpowiedzialności za wyprodukowanie złych filmów. Za artystyczny kształt filmu i jego wymowę ideową ponosi odpowiedzialność reżyser, a w naszej kinematografii istnieje też funkcja kierownika artystycznego i szefa produkcji, którzy otrzymują od 20 do 45 tys. zł od filmu. A jak ich nadzór wygląda?

Szef produkcji zespołu „Start” Aleksander Hochberg w czasie realizacji filmu „Gdzie jest generał” był w plenerze dwa razy po dwa dni, przy filmie „Beata” — trzy razy po jednym dniu; w zespole „Kamera” kierownik artystyczny Jerzy Bossak i szef produkcji Józef Krakowski pobrali pieniądze z tytułu nadzoru nad realizacją filmów „Podróżnicy” i „Pasażerka”, nie będąc ani sekundy w czasie zdjęć w plenerach”.

Inspektorzy NIK w każdej kolejnej kontroli trafiają na wykroczenia, straty i nadużycia, ale ich wnioski nie są realizowane.

„Inspektorzy piszą — czytamy — a nasi wielcy twórcy filmowi „kręcą” dalej. Kudy tam biednemu inspektorowi NIK, zwyktemu urzędnikowi państwowemu do Forda czy Bossaka. Niech sobie pisze bledaczyna. Doceniając rolę wiceprezesa NIK Zambrowskiego, należy zapytać, jaka była rola dyrektorów departamentów koordynacji i prezydenckiego w torpedowaniu wniosków merytorycznego departamentu. Byłoby oczywiście wielkim uproszczeniem, odpowiedzialnością za to, co się dzieje w naszej kinematografii, o-

Monika Warneńska

Uczelnie pod bambusową strzechą

Wzgórza i zagajniki. Małe chatki, ukryte w gąszczu zieleni. Czysto zamiecione ścieżki. Pod bambusową strzechą gliniana polepa. Drewniane stoły, na nich szkło laboratoryjne: butelki, flakony, ampułki. Łagodnie igrające płomienie palników. Waga apteczna produkcji radzieckiej.

Szalas przytulony do łagodnego skłonu wzgórza. Gromadka młodzieży wstaje z miejsc. Zajęcia dla drugiego roku słuchaczy wydziału farmacji. Wykładowcy, Tran Oung Ton, rozpoczęła studia podczas wojny poprzedniej, w dzunglowej wyższej szkole medycznej. — Przydało mi się niejedno doświadczenie z tamtych lat — powiada. Jest matką trojga dzieci. Najstarszy syn studiuje fizykę.

Jesteśmy na jednym z wydziałów ewakuowanego z Hanoi uniwersytetu. Do roku 1964 istniał wspólny fakultet medycyny i farmacji. Potem nastąpił rozdział tych obu specjalności. Od roku 1965 uniwersytet wyodrębował poza obręb stolicy. Środki transportu: autobus i ciężarówka, wózki ręczne i... własne plecy. Półtora tysiąca studentów, wśród nich 60 procent dziewcząt, kształcą się w zakresie osiemnastu dyscyplin. Ponadto prowadzone są kursy specjalistyczne dla farmaceutów wojskowych. Wśród wykładowców jest wiele kobiet.

— Na początku było nam bardzo trudno — mówią kierownicy fakultetu: Huynh Quang Dac, rosły mężczyzna w bluzie o półwojskowym kroju i jego zastępczyni, Ha Tuong.

Brakowało nam wody i elektryczności. Musieliśmy sami wraz z młodzieżą zbudować dla nas wszystkich dach nad głową. Najlepiej radzili sobie z tą pracą studenci pochodzący ze wsi. Teraz mamy 250 budynków, rozrzuconych dla większego bezpieczeństwa przed nalotami na znacznej przestrzeni. Oczywiście, budynki te — to lekkie, bambusowe baraki. Są wśród nich sale wykładowe, mieszkania profesorów i studentów, biblioteki i laboratoria, a także żłobek i szkoła podstawowa pierwszego stopnia dla dzieci personelu.

Salę wykładową pod bambusową strzechą. Słuchacze czwartego roku odbywa-

ją zajęcia. Najcenniejsze aparaty i przyrządy znajdują się w dole wylepionym glina, o krok od schronu. Szalas, w którym monotonnie stuka maszyna — to powielarnia, gdzie sporządzane są skrypty. Doświadczalny ogródek, a raczej ogród, obejmujący spory szmat ziemi. Oglądam ziola lecznicze, hodowane przez pracowników naukowych uniwersytetu; ziola, dla których próżno można by szukać nazw polskich. Słucham objaśnień dotyczących wykorzystania tych roślin we współczesnej medycynie.

Na łącz studentów niższych lat odbywają ćwiczenia wojskowe. Pada komenda: — Padnij! Powstań! Kryj się! Biegnij! Karabiny ćwiczebne, kaski, kamuflaż ochronny z gęstego listowia...

Korespondencja z Hanoi

W dwie godziny później jesteśmy w „auli”, zbudowanej również z bambusa. Dziennikarz Le Quang z dziennika „Tien Phong”, odpowiednika „Sztandaru Młodych”, który był niedawno w Warszawie, przejmując rolę tłumacza.

— Zobaczyłaś fragment codziennej pracy jednego wydziału uniwersyteckiego — komentuje mój tłumacz Kinh, który przez dłuższy czas pracował w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego DRW. — W podobnych warunkach pracują wszystkie nasze uczelnie. Chcesz zanotować kilka dodatkowych szczegółów?

— Przed powstaniem Demokratycznej Republiki Wietnamu 95 proc. mieszkańców naszego kraju było analfabetami. Istniały wtedy tylko dwa pełne licea ogólnokształcące, w Hanoi i w Sajgonie. Każdego roku wychodziło z nich łącznie zaledwie 40 maturzystów. Nauka była kosztowna i trudno dostępna. W Hanoi działał jedyny uniwersytet z trzema zaledwie wydziałami: medycyny, farmacji i prawa. Studiowało na nim niewiele ponad 700 słuchaczy. Program nauki i jej zakres wyznaczały — stosownie do swoich wymagań — władze kolonialne.

— Podczas wojny poprzedniej, mimo niebывałych trudności, w głębi dzungli powstały cztery szkoły wyższe i osiem szkół „pół-wyższych”, o poziomie średnim między liceum a uniwersytetem. W szkołach tych odbywała się nauka w zakresie medycyny i farmacji, komunikacji, tran-

sportu i łączności, pedagogiki, sztuk pięknych i obcych języków. Możesz powiedzieć, że to przesłuch, że teraz toczy się nowa wojna, tamto wszystko zaś stanowi zamknięty już rozdział historii. To prawda. Ale wydaje mi się, że nie sposób zrozumieć rzeczywistości naszego szkolnictwa wyższego, takiego jakim jest ono w kolejnym roku eskalacji — bez zrozumienia naszych dawnych doświadczeń wojennych.

— W roku 1954 dzunglowe szkoły i uczelnie wróciły do stolicy. Wiele piętrzyło się wówczas przed nami trudności. Francuzi wywieźli wszystko, co było potrzebne: sprzęt i wyposażenie uczelni, biblioteki i pomoce naukowe. Rozpoczęliśmy nowy etap pracy w odmiennym otoczeniu. Powstawał nowy system nauczania — stop dawnych i późniejszych warunków, potrzeb, nawyków. W roku 1954 mieliśmy pięć szkół wyższych. W roku 1960 — osiem. Osiem szkół wyższych z 50 wydziałami i 18 tysiącami słuchaczy. Ponadto w tym samym roku działały 34 szkoły „pół-wyższe” z 91 wydziałami i 26 tysiącami słuchaczy. W tym samym roku rozpoczęły działalność kursy uzupełniające średniego stopnia. Przygotowywały one do matury słuchaczy pochodzących ze wsi.

— Rok 1965, początek eskalacji, nie zahamował walki o wiedzę. Wszystkie uczelnie wyższe, przeniesione poza obręb macierzystych miast, działają nadal. W 36 uczelniach wyższych kształcą się ponad 50 tysięcy słuchaczy. Sami, wraz z kadrą profesorską dokonali ewakuacji ruchomego dobytku uczelni. Zbudowali, jak widziałas, pomieszczenia i sprzęty. Troszczą się w ramach znanej ci już „samowystarczalności gospodarczej” o uzupełnienie zapasów żywności, uprawiając warzywa i hodując drób. No i oczywiście uczą się. Uczą się z jeszcze większą pasją i zapałem niż za czasów pokoju.

— Skąd my to znamy? — notuję na marginesie, przypominając sobie podobne doświadczenia i wnioski z czasów naszego tajnego nauczania z lat okupacji hitlerowskiej.

— Ponadto — dorzuca Kinh — w roku bieżącym 30 tysięcy studentów i robotników wykwalifikowanych bądź wyjechało już, bądź też wyjedzie do krajów socjalistycznych na staż i na studia. To jedna z najcenniejszych form pomocy, wyświadczonej nam przez bratnie narody. To przygotowanie nowych kadr dla przyszłości.

W rejonie doktora Kolińskiego

Dokończenie ze str. 1

części... mleczarek. Wiem, że spora część pacjentów ze wsi przyjeżdża do ośrodka z mleczarkiem. I z mleczarkiem chce się zabierać z powrotem. Trudno, muszę mleczarka wstawić do swego harmonogramu zajęć: otwieram ośrodek o 7.30, żeby załatwić najpierw tych dojeżdżających. To są sprawy, z których na studiach człowiek by się śmiał, śmiał by się pewnie także niejedną kolega z miasta, ale tutaj nagle staje się to bardzo ważne. Tu trzeba całkiem inaczej podchodzić do różnych zagadnień, patrzeć na nie z innej pozycji niż w mieście. Ja muszę przecież być takim małym omnibusem, no i trudno — jestem. Na przykład wtedy, gdy często z drżeniem serca — przy stepując do małego zabiegu okulistycznego. Bo jakże mogę wysłać kogoś do okulisty kilometrów w nagłym wypadku?

Po południu doktor jeździ do obojźnie chorych; na szczęście ostatnio już własną, „ośrodkową” karetką. Do domu, do żony i dwójki dzieci. wraca najczęściej późnym wieczorem.

— Niech mi pan powie, czy się to panu jeszcze nie znudziło? Trochę za dużo tych obowiązków. Po kilku latach takiej pracy lekarz ma prawo być zmęczony. I chyba tu tkwi źródło braku stabilizacji kadr na tych stanowiskach.

— Tak, ale w wielu wypadkach można by temu zapobiec. Można by

to zmęczenie poważnie ograniczyć, gdyby taki rejon jak nasz „obsługiwało” dwóch lekarzy. Wydaje się to całkiem proste: przyjąć drugiego. Okazuje się że często — jak właśnie w Śremie powiat dysponuje wolnymi etatami, ale mogą one latami pozostawać wolne, bo żaden lekarz nie przyjdzie na wieś jeśli mu się nie za gwarantuje mieszkania. Cóż — nie zawsze to można zrobić. Wiele jest takich miasteczek jak Dolsk, w których się nic nie buduje. Ale często problem polega na stanowczo zbyt małej operatywności, zbyt małym zrozumieniu ze strony miejscowych władz administracyjnych. Stąd ta płynność kadr, stąd nadmierne obciążenie obowiązkami, a zwłaszcza przy tak rozbudowanej obecnie profilaktyce. A przecież to upowszechnienie profilaktyki to jedno z najważniejszych osiągnięć wiejskiej służby zdrowia. My tu z wielką dumą i z radością patrzymy na młode matki, które już nauczyły się regularnie, co 6 tygodni, przyjeżdżać ze swoimi pociechami do badań i kontroli. — O ile przyjemniej by nam się pracowało, gdybyśmy wiedzieli, że robimy naprawdę wszystko co można już dziś zrobić w zakresie usług medycznych. Niestety, zdajemy sobie sprawę z tego, że nie każdemu i nie na wszystko wystarczy czasu.

Kierownik Powiatowego Wydziału Zdrowia dr Barbara Sliwińska stawia kropkę nad i przy moich rozważaniach na temat pracy lekarza, od którego zależy poziom zdrowia najlicniejszej grupy naszego społeczeństwa. Mówi do mnie: — „Doktor Koliński? Zdarza się, choć bardzo rzadko, że przyjeżdża „do powiatu” całkiem oklapnięty, bez humoru. Władze zmęczony, albo czymś zniechęcony. I wtedy zawsze przeżywam ten sam moment niepokoju: zostanie?”

WANDA CHILA